

Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo  
w celach promocyjnych.

**EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!**

Wszelkie prawa należą do:  
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.  
Warszawa 2013

**[www.zielonasowa.pl](http://www.zielonasowa.pl)**



**JEDNA  
SROKA  
SMUTEK  
WRÓŻY**

Przekład: Ewa Kleszcz

**ZIELONA  
SOWA**



Tytuł oryginału: *You Must Not Miss*

Tłumaczenie: Ewa Kleszcz

Redaktor prowadzący: Sylwia Kurek

Korekta: Teresa Zielińska

Skład i DTP: Norbert Wencel

© Copyright 2019 by Katrina Leno

Cover photography copyright © by Howard Huang.

Cover design by Marcie Lawrence. Cover copyright © 2019

by Hachette Book Group, Inc.

© Copyright by Polish edition

by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa 2020

Wydanie I

ISBN 978-83-8154-703-1

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, al. Jerozolimskie 94

tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 81

[wydawnictwo@zielonasowa.pl](mailto:wydawnictwo@zielonasowa.pl)

[www.zielonasowa.pl](http://www.zielonasowa.pl)

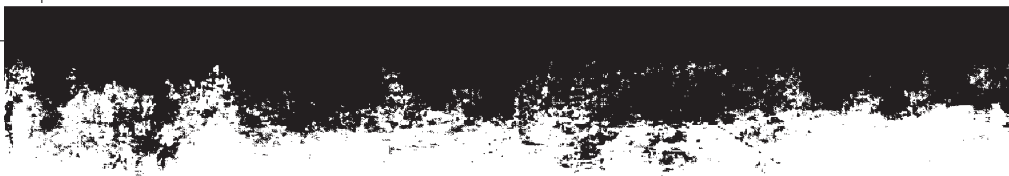


*Dla Wendy Schmalz:  
jestem wdzięczna za to, że mogę cię nazywać  
moją agentką, a jeszcze bardziej za to, że  
mogę cię nazywać przyjaciółką.*



**JEDNA SROKA SMUTEK WRÓŻY,  
DWIE – RADOŚCI PEŁNE DNI.  
TRZY TO DZIEWCZĘ URODZIWE,  
CZTERY – CHŁOPIEC CI SIĘ ŚNI.  
PIĘĆ DA SREBRA CAŁY DZBANEK,  
SZEŚĆ PRZYNIESIE ŻŁOTA MOC.  
SIEDEM TAJEMNICĘ KRYJE  
W NAJSTRASZNIEJSZĄ CIEMNĄ NOC.  
OSIEM TWE ŻYCZENIE SPEŁNI,  
DZIEWIĘĆ – KTOŚ CIĘ POCAŁUJE.  
JEŚLI DZIESIĘĆ SROK ZOBACZYSZ,  
NIESPODZIANKA SIĘ SZYKUJE.**

Jedna z wersji staroangielskiej rymowanki o srokach – ptakach, które często były uznawane za zły omen (być może nie bez powodu).



## JEDNA SROKA SMUTEK WRÓŻY

Zapach chloru zawsze przypominał Magpie\* Lewis o lecie, natomiast lato przypominało jej o znacznie szczęśliwszych czasach, jeszcze zanim jej życie potoczyło się w kompletnie niewłaściwym kierunku. W poprzednie wakacje jej siostra wciąż z nimi mieszkała, ojciec zachowywał się dyskretnie, matka była trzeźwa, a Magpie spędziła trzy idealne miesiące w ich niewielkim naziemnym basenie, wylegując się na dmuchanym materacu w kształcie pizzy, podczas gdy jej eksnajlepsza przyjaciółka, Allison, unosiła się tuż obok na białym dmuchanym łabędziu. Teraz łabędź leżał gdzieś w kącie, pocięty żyletką, a z pizzy uszło powietrze. Gdy Magpie przyłożyła usta do wentylu, poczuła smak basenowej chemii, kremu z filtrem przeciwsłonecznym, potu i żalu. Skrzywiła się i splunęła.

Poczuła mrowienie na grzbiecie dłoni w miejscu, gdzie skóra zetknęła się z odrobiną chloru w proszku.

---

\* Z ang. sroka.

Wklepała zapytanie do przeglądarki w telefonie (*czy sproszkowany chlor na skórze mnie, do cholery, zabije, miejmy nadzieję*, ku jej ubolewaniu odpowiedź brzmiała: nie). Przez kilka minut trzymała dłoń pod strumieniem wody z ogrodowego węża. Woda była lodowata, więc teraz zamiast mrowienia nie czuła nic, co uznała za postęp.

Znalazła w garażu starą pompkę, wróciła na podwórze za domem i usiadła po turecku na trawie. Dmuchany materac w kształcie pizzy wyblakł przez trzy miesiące codziennego leżenia na słońcu. Magpie niemal widziała ciemniejszą plamę w miejscu, w którym jej ciało blokowało dopływ światła. Smarowała się kremem z wysokim filtrem i wcale się nie opaliła.

Nie powinno się wchodzić do basenu bezpośrednio po wsypaniu do niego chloru, ale był pierwszy maja i w Nowej Anglii panował wyjątkowy jak na tę porę roku upał. Było gorąco jak w lipcu. Poza tym na materacu Magpie ledwie miałyby kontakt z wodą. Szczerze mówiąc, liczyła na to, że ten basen albo materac, albo kombinacja tych dwóch rzeczy zadziała jak wehikuł czasu i katapultuje ją z powrotem w przeszłość, do dnia, gdy jej serce nie wydawało się tak zwiędłe i chore.

Przerzuciła materac przez krawędź basenu, po czym wspięła się po drabince na niewielką wzniesioną platformę i ostrożnie się na nim położyła. Zdjęła z głowy słomkowy kapelusz i przestłoniła nim twarz, głęboko wdychając zapach chloru, palący i ostry jak nóż. Wsypała

go za dużo, ale basen nie był czyszczony od zeszłego roku i zrobił się lekko zielonkawy, licho wie od czego – pokrywał go jakiś mech albo grzyb czy coś.

– Algi – przypomniała sobie nagle i wymówiła to słowo na głos, tak cicho, że szept uwiązł pod kapeluszem i przez chwilę w nim rozbrzmiewał. Przez szpary w plecionym nakryciu głowy Magpie widziała drzewa, słońce i błękit nieba. Do końca roku szkolnego pozostał jeszcze miesiąc, a ona uznała, na bazie całej masy dowodów, że ten świat to jeden wielki żart.

Ale słońce grzało przyjemnie, wiała ciepła bryza, a materac unosił się leniwie na wodzie, delikatnie uderzając o ściany basenu, i Magpie poczuła swego rodzaju ostrożny spokój.

Zanurzyła dłoń w zimnej wodzie aż po nadgarstek, potem przypomniała sobie o chlorze i szybko ją wyjęła.

W domu rozległ się dzwonek telefonu. Tylko kilka osób znało ten numer i w większości byli to telemarketerzy. Magpie wiedziała, że jej matka, Ann Marie, leży w środku pijana i ogląda telewizję, a jednak telefon zadzwonił z tuzin razy, nim umilkł, nieodebrany. Ann Marie wyłączyła pocztę głosową wiele miesięcy temu, ale ojciec Magpie wciąż dzwonił codziennie o szóstej po południu, czekając, aż ktoś podniesie słuchawkę. Magpie lubiła sobie wyobrażać, co by powiedział, gdyby mógł nagrać wiadomość. Jego niski, błagalny głos wylałby się z domu, prześlizgnął po trawie, popęzł w górę po ścianie basenu i przemknął po wodzie prosto do ucha Magpie.

Powiedziałby coś prostego, coś w stylu:

*Ann Marie, proszę, oddzwoń do mnie. Proszę, porozmawiaj ze mną. Proszę, daj mi szansę wyjaśnić.*

Co z grubsza oznaczałoby mniej więcej tyle:

*Ann Marie, przykro mi, że nasza córka przyłapała mnie na seksie z twoją siostrą w naszej sypialni sześć miesięcy temu, gdy ty wyjechałaś z miasta, żeby odwiedzić przyjaciół, a Magpie miała być w szkole, ale urwała się z trzeciej lekcji, żeby przetrząsnąć szuflady naszego stolika nocnego w poszukiwaniu trawki, którą tam trzymaliśmy, żeby mogły z Allison się najarać i zjeść cztery paczki chipsów o smaku barbeque. Przykro mi, że byłem całkiem nagi i że twoja siostra była całkiem naga, i że staliśmy tam, gapiąc się na naszą córkę / / siostrzenicę, nie wiedząc, co powiedzieć, nie wiedząc nawet, jak się czymś zakryć. Zupełnie jakby czas czknął i zatrzymał się, a nasza trójka nie potrafiła wymyślić, jak to odkręcić, jak sprawić, żeby znowu popłynął. Ann Marie, przepraszam, że widok mojego nagiego, na wpół wzwiedzionego członka na wieki pozostanie wypalony pod powiekami naszej młodszej córki. Ann Marie, proszę, oddzwoń. Proszę, porozmawiaj ze mną. Proszę, daj mi szansę wyjaśnić.*

Jakiś trzask wyrwał Magpie z rozmyślań – to Ann Marie rzuciła telefonem o ścianę. Był to jednak najstarszy i najsolidniejszy aparat w historii ludzkości i nieuchronnie miał przetrwać tę drobną niedogodność. Magpie podniesie go potem i poskłada, a cały

ten cyrk powtórzy się jutro i pojutrze, i tak dalej, aż do końca świata.



Leżała na dmuchanym materacu tak długo, aż słońce zaszło za horyzont, a jej matka straciła przytomność na kanapie przy dźwięku ryczącego telewizora. Magpie wytarła się ręcznikiem i wróciła do środka.

Dom przy Pine Street, w którym mieszkały, był pogrążony w mroku. Żaluzje zostały szczelnie zasłonięte, a ciemne kotary wisiały niemal w każdym oknie. Klimatyzacja dmuchała stęchłym, zimnym powietrzem, które przyprawiało ją o gęsią skórkę za każdym razem, gdy stanęła za blisko wywietrznika.

Od sześciu miesięcy sama gotowała sobie kolację, niemal zawsze to samo, bo jedzenie jej nie interesowało, jadła tylko po to, żeby za bardzo nie schudnąć i nie wzbudzić podejrzeń szkolnej psycholożki, której własna córka zmagала się z chorobą nerek po długotrwałej anoreksji. Pani Henderson miała obsesję na punkcie wagi uczniów liceum w miasteczku Dalej i regularnie przemierzała korytarze, lustrując ich ciała w poszukiwaniu nadmiernie wystających kości: obojczyków i łokci napinających skórę tak mocno, że stawała się o trzy odcienie bledsza niż powinna.

Magpie postawiła garnek z wodą na kuchence i wyjęła z szafki pudełko makaronu z serem. Mleko i masło

się skończyły, więc danie będzie suche, a sproszkowany ser zbije się w grudy przypominające małe guzy.

Poszła do salonu i wyłączyła dźwięk w telewizorze. Ann Marie spała na kanapie, a jej chrapanie wprawiało w drżenie obrazy wiszące na ścianach. Na stoliku kawowym, zawsze pod ręką, pociła się duża szklanka wódki z lodem, bo taki drink wyglądał jak woda i mogły obie udawać, gdyby zechciały, że to rzeczywiście woda. Magpie rzadko zbliżała się do szklanki na tyle, żeby powąchać jej zawartość, ale czuła smród alkoholu bijący od matki, która rano nie wzięła prysznicza i wydała czysty etanol każdym porzem. Zapieкло ją w nosie, nawet gorzej niż od zapachu chloru.

Zjadła kolację na stojąco, prosto z garnka, za pomocą drewnianej łyżki, której używała do mieszania i która stanowiła jedyne czyste narzędzie w całej kuchni. Makaron przypominał tekturę posypaną wiórami, ale mimo wszystko przyniósł jej pocieszenie. Miał znajomy smak, na którym mogła polegać.

Codziennie w porze lunchu Magpie kupowała sobie w szkolnej stołówce tłustą kanapkę z grillowanym żółtym serem i mały kartonik soku jabłkowego, a na śniadanie zjadała czasami łyżkę czy dwie twarożku wiejskiego, jeśli o tym pamiętała i jeśli nie pokrył się akurat zielonym kożuchem pleśni. Warzyw nie jadła już od jakiegoś czasu.

Otworzyła lodówkę i znalazła brokuł do tego stopnia pokryty lepką białą mazią, że ledwie mogła

stwierdzić, co to takiego. Jakoś nie przyszło jej do głowy, żeby go wyrzucić.

– Nie ma żadnych warzyw – wyszeptła, po czym zamknęła drzwi i uwięziła swój głos we wnętrzu łódki, żeby się schłodził.



Magpie zawsze wychodziła do szkoły bardzo wcześnie. Robiła to z dwóch powodów: chciała opuścić dom, zanim wstanie jej matka, i dotrzeć do swojej szafki, nim przy sąsiedniej pojawi się Allison.

Wyjęła wszystkie książki, których miała potrzebować tego dnia, tak żeby mogła tu wrócić dopiero trzydzieści minut po ostatnim dzwonku. To pozwalało jej omijać Allison szerokim łukiem i gwarantowało, że nie zobaczą się po szkole. Jej plecak jęknął głośno pod ciężarem podręczników. Plecy też.

Ruszyła do klasy, w której miała się odbyć pierwsza lekcja – angielski – i zastała ją pustą, tak jak się spodziewała. Magpie lubiła przewidywalność, lubiła to, że pan James pojawiał się zaledwie pięć minut przed początkiem zajęć, więc miała ciemną salę tylko dla siebie przez czterdzieści błogich, cichych minut. Usiadła w pobliżu okna, z tyłu, i wyciągnęła pracę domową, którą miała odrobić przez weekend. Nieprzytomnym wzrokiem gapiała się na treść zadania, próbując się na nim skupić.

Przeczytaj opowiadanie *Where are you going, where have you been?* autorstwa *Joyce Carol Oates* i odpowiedz na poniższe pytania:

*Dlaczego Connie wsiadła do samochodu Arnolda Frienda?*

*Jakie znaczenie ma nazwisko Arnold Friend?*

*Jakie znaczenie ma obsesyjne czesanie włosów przez Connie?*

*Jakie znaczenie ma dosłownie wszystko?*

Magpie zmrużyła oczy i raz jeszcze przeczytała czwarte pytanie. Rozpłynęło się i przekształciło w coś, co nabrało więcej sensu.

Magpie nie przeczytała opowiadania. Wyjęła podręcznik z plecaka i otworzyła go.

Oczy odmawiały jej posłuszeństwa.

Nie zdołała przebrnąć przez choćby jedno zdanie.

W zamian wyciągnęła z plecaka swój notes na spirali, notes z wesołą żółtą okładką, która ostro kontrastowała z ciemną chmurą, jaka wiecznie ją otaczała. W prawym górnym rogu napisane było jedno słowo. *Niedaleko*.

Notes był mocno podniszczony, żółta okładka spłowiała i zaczęła się łuszczyć na krawędziach, odsłaniając tekturę pod spodem. Magpie notowała w nim od miesięcy – ściśle mówiąc, od sześciu miesięcy. Kupiła go następnego ranka po tym, jak przyłapała ojca z ciotką. Napisała to słowo – *Niedaleko* – na okładce, a potem otworzyła zeszyt i zanotowała na pierwszej stronie:

*Chciałabym żyć gdzieś indziej. W małym, idealnym miejscu. W miasteczku zwanym Niedaleko, gdzie nie byłoby ludzi, korków ani hałasu. Tylko zielone wzgórza i trawa tak jaskrawa, że niemal limonkowa.*

Teraz otworzyła notes gdzieś pośrodku i znalazła pustą kartkę, niezapisaną jeszcze w całości jej schludnym, drobnym pismem, po czym napisała:

*WNiedaleko zawsze jest wystarczająco ciepło na pływanie.*

*W Niedaleko zawsze czuję się tak, jakbym unosiła się na wodzie.*

*W Niedaleko woda jest ciepła jak w kąpielni.*

Nagle usłyszała odgłos torby kładzionej na biurku. Lekcja miała się rozpocząć za pięć minut i pan James przybył punktualnie.

– Dzień dobry, Margaret – powiedział, a ona zamknęła żółty notes i wsunęła go do plecaka. Pan James podszedł do jej ławki i postukał palcem w podręcznik. – Widzę, że odświeżasz sobie opowiadanie? I co o nim myślisz? Mroczne, wiem.

Magpie nie wiedziała, co o nim myśli, bo go nie przeczytała, więc zamiast odpowiedzieć, uciekła wzrokiem.

Pan James przechylił głowę i popatrzył na nią z czymś takim, co można było opisać wyłącznie jako ostrożny optymizm.

– Margaret?

– Przepraszam – mruknęła Magpie. Próbowwała znaleźć jakąś wymówkę, ale czuła pustkę w głowie, ogromny, biały bezkres nicości.

– Margaret, nie przeczytałaś tekstu, który wam zadałem? Naprawdę nie możesz sobie pozwolić na niezaliczenie kolejnej pracy domowej.

– Odrobię ją dziś wieczorem – obiecała.

– Nie pozwalałam na oddawanie prac po terminie, Margaret. Rozmawialiśmy już o tym.

– No to mogę to zrobić jeszcze w szkole, podczas godziny przeznaczonej na samodzielną naukę.

– Ale przecież miałaś na to cały weekend. Jak mogłaś nie znaleźć czasu na przeczytanie jednego krótkiego opowiadania?

Jak mogła?

Ale nawet gdyby wymyśliła jakiś dobry powód, nie miałyby okazji się nim posłużyć. Rozbrzmiał dzwonek i pozostali uczniowie zaczęli wypełniać salę, zajmować miejsca, zabierać całe powietrze. Magpie spuściła głowę i próbowała zaczerpnąć go tyle, by móc w ogóle oddychać.



Lunch. Kanapka z grillowanym serem, plamiąca tłuszczem jej tacę.

Kiedyś zawsze siedziała na stołówce z Allison. Nigdy nie wiedziała, kto jeszcze do nich dołączy. Ludzie nieustannie się zmieniali, w miarę jak wkupywali się w łaski Allison i z nich wypadali.

Szybko zerknęła w jej stronę i zobaczyła osoby, które kiedyś uważała za przyjaciółki – Elisabeth,

Nicole, Brittany – roześmiane i wspólnie jedzące posiłek.

Sześć miesięcy temu Magpie wybrała nowy stół. Ten stojący po drugiej stronie sali. Zauważyła wolne krzesło i zapytała, czy może się dosiąść.

– To wolny kraj, dziewczyno – odparła Brianna.

– Masz na imię Mags, prawda? – zapytał Luke.

– Witaj wśród wyrzutek. Nie masz nic przeciwko składaniu ofiar z krwi, prawda? – rzuciła Clare.

Ben nic nie powiedział, ale odrobinę przesunął swoje krzesło, żeby mogła usiąść obok niego.

Zaakceptowali ją, bo każde z nich było na cenzurowanym.

Brianna w pierwszej klasie liceum dostała okresu w trakcie lekcji i krew poplamiała jej dżinsowe szorty. Została za to wykluczona ze wszelkich cywilizowanych konwersacji, bo przecież wszyscy wiedzą, że o miesiączce się nie mówi i należy zaprzeczać jej istnieniu za wszelką cenę.

Luke umawiał się z najbardziej blondwłosą cheerleaderką w szkole, dopóki nie przyznał, że jest biseksualny i nie zaczął się spotykać z rozgrywającym drużyny footballowej rywalizującej z zespołem z Dalej.

Ojciec Clare zabił się, gdy była w gimnazjum, zatem należało jej unikać, jakby żałoba była zaraźliwa.

Ben zmienił płeć jakoś w zeszłym roku, przy akceptacji niewielu osób poza tą małą grupą.

No i Magpie.

Której występki przeciwko liceum Dalej były zbyt poważne, by o nich wspominać.

W każdym razie tak twierdziła Allison.

A ludzie słuchali Allison.

Jej wersja wydarzeń była tak przekonywująca, że czasami nawet Magpie w nią wierzyła, chociaż przecież sama brała w nich udział.

Teraz Magpie siedziała między Benem a Brianną, bo w przeciwieństwie do reszty szkoły nie uważała, by osoby transgenderowe oraz mające okres stanowiły jakiegokolwiek zagrożenie.

Rozerwała kanapkę z serem na pół, potem podzieliła ją na ćwiartki, a w końcu na osiem części.

– Chcesz to? – zapytał Ben, podsuwając jej jogurt w tubce. – Powiedziałem mamie, że są obrzydliwe, ale ona wciąż je kupuje.

Magpie wzięła od niego tubkę i powoli obróciła ją w palcach. Jogurt miał smak jagodowy.

– Uważasz, że smakuje obrzydliwe, ale mi go dasz? – zapytała. Próbowwała zażartować, ale ostatecznie zabrzmiało to trochę niegrzecznie.

– Ja zjem – oznajmiła Brianna i wyrwała Magpie tubkę z ręki.

– Co powiecie o tym opowiadaniu, które musimy przeczytać na zajęcia u pana Jamesa? Cholernie mroczne, co nie? – zmieniła temat Clare.

– Ja przeczytałbym wszystko, co by mi kazał – rozmarzył się Luke. – Nawet jego listę zakupów.

– Ohyda. Możesz go sobie wziąć – prychnęła Brianna, przewracając oczami. – Nie rozumiem, o co tyle hałasu.

– Nie możesz zaprzeczyć, że w jego oczach płonie ogień. – Clare westchnęła do pojemniczka z musem jabłkowym.

Magpie nie włączyła się do dyskusji, bo nie miała tak naprawdę zdania na temat wyglądu pana Jamesa. Był po prostu kolejnym nauczycielem zadającym prace domowe, których nie odrabiała.

– Powinnaś coś zjeść – szepnął Ben do Magpie, pochylając się ku niej. – Pani Henderson wyszła na polowanie.

Magpie rozejrzała się po stołówce i rzeczywiście, szkolna psycholożka chodziła od stołu do stołu i sprawdzała, co uczniowie wybrali na lunch.

Wepchnęła sobie kilka kawałków kanapki do ust.

– Dzięki – wymamrotała do Bena.

– Nie ma za co. Jak ci mija dzień?

Magpie popatrzyła na niego. Ben miał jedną z tych miłych, szczerych twarzy. Zawsze grał w otwarte karty. Podobało się jej to.

– Jestem zmęczona – powiedziała. Nie spała za dużo. Wiele godzin leżała w łóżku, gapiąc się w sufit, przytłoczona ciężarem nocy, jakby to było coś, co da się zważyć.

– Wyglądasz na zmęczoną – przyznał Ben. – Proszę. – Podał jej resztę swojej kawy. Magpie nie pijała

kawy, zanim poznała Bena, ale teraz często dzielił się z nią swoim napojem. Wzięła łyk i poczuła, jak ciepło gwałtownie spływa jej do żołądka.

Siedziała przy tym stole i znała tych ludzi zaledwie od sześciu miesięcy, ale zdążyła się poczuć swobodnie w ich towarzystwie. Wszyscy byli boleśnie świadomi panującej na świecie niesprawiedliwości, której doświadczyli w wyjątkowych okolicznościach. Nie znali całej historii Magpie, ale słyszeli szept, jakie niosły się za nią, gdy szła korytarzem: dziwka.

– Dzięki – powiedziała, wskazując na kubek z kawą. Ben szturchnął ją ramieniem.

– Nie ma za co, Mags.

Nosiła różne imiona dla różnych ludzi.

Dla nauczycieli: Margaret.

Dla osób przy tym stole: Mags.

Dla siebie, ~~mamy, taty, siostry, Allison:~~

Magpie.



Ben i Magpie mieli po lunchu wspólną lekcję historii, więc ruszyli do klasy bardzo okrężną drogą (żeby uniknąć szafki Allison), czego Ben nigdy nie kwestionował. Magpie nie znała Bena za dobrze, dopóki nie przysiadła się do niego na stołówce, ale teraz śmiało mogłaby go nazwać przyjacielem, chociaż generalnie widywali się tylko w trakcie obiadów.

Przez chwilę szli w milczeniu, aż wreszcie dotarli do dystrybutora z wodą i Ben zatrzymał się, aby wziąć łyk.

Gdy się wyprostował, zapytał:

– Zastanawiałaś się już nad projektem dla pani Peel?

Magpie nie uważała na lekcjach historii od pół roku; nie miała pewności, czy omawiali właśnie pierwszą czy drugą wojnę światową, zimną wojnę, a może w ogóle nie mówili o wojnie, tylko o gorączce złota w Kalifornii.

– Projektem? – zapytała.

– Końcowym projektem, który mamy zrobić w parach – dodał Ben. Odczekał chwilę, ale Magpie patrzyła na niego bez zrozumienia. – Gada o nim od stycznia, naprawdę nie...?

– A tak, oczywiście – powiedziała szybko Magpie. To była najbezpieczniejsza odpowiedź. Ben wyglądał, jakby mu ulżyło.

– Cóż, zastanawiałem się, czy nie chciałabyś zrobić go ze mną? – zapytał.

– Pewnie.

– Masz już jakieś pomysły na temat?

– Sama nie wiem. Może ty powinieneś wybrać.

– A co powiesz na... Amelię Earhart? Spełnia kryteria, wiesz, jako kobieta, która pozytywnie wpłynęła na historię.

– Brzmi świetnie.

– Super – ucieszył się. A potem, tak cicho, że ledwie go usłyszała, dodał: – Hej... czy coś się dzieje?

– Co masz na myśli?

– Na ogół jesteś małowówna. I nie ma w tym nic złego! Tyle że dzisiaj wydajesz się jeszcze bardziej milcząca niż zwykle.

Odsunął się na bok, gdy jakiś chłopak ze starszej klasy, którego Magpie nie знаła, zatrzymał się przy nich, by skorzystać z dystrybutora. Wziął łyk, cofnął się, przeniósł wzrok z Magpie na Bena, po czym powiedział:

– Na twoim miejscu nie piłbym po niej.

Magpie poczuła, jak rumieńce zalewają jej policzki, tymczasem chłopak zniknął w tłumie wypełniającym korytarz. Ben wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, od czego zacząć.

W końcu odchrząknął i mruknął:

– To było... przykro mi.

– Och, nic się nie stało. Naprawdę, wszystko w porządku. To jeszcze nic.

– Naprawdę? Ludzie wciąż... gadają o tobie?

Magpie zaśmiała się cicho, choć przypominało to bardziej prychnięcie.

– Wiem, że słyszysz, co mówią.

– Ja tego nie słucham – powiedział szczerze. – Nauczyłem się dawno temu, żeby tego nie robić.

– Ale mimo wszystko słyszysz.

Uśmiechnął się przelotnie.

– Niech będzie. Mimo wszystko słyszę. Ale nie słucham.

– Ale równie dobrze mógłbyś – oznajmiła, wzruszając ramionami. – Wszystko, co o mnie mówią, to prawda.

Ben przechylił głowę, jakby przyglądał się jej pod innym kątem. Potem lekko zmarszczył brwi i powiedział:

– Cóż. Ja wcale w to nie wierzę.



Gdy zadzwonił ostatni dzwonek, Magpie odczekała jeszcze trzydzieści minut w sali matematycznej, zanim poszła do swojej szafki. Jak zwykle zostawiła wszystkie książki w szkole. W plecaku miała już tylko klucze do domu, żółty notes i komórkę na kartę, której nie używała od tygodni.

Ruszyła do sklepu spożywczego.

W miasteczku znajdowały się dwa: Baker Farms oraz Kent's.

Allison pracowała w Baker Farms.

Więc Magpie poszła do Kent's.

W kieszeni miała kartę kredytową matki. Dokładnie znała saldo, bo co miesiąc otwierała jaskrawoczerwone koperty z wyciągami. Spłacała kwoty minimalne pieniędzmi kradzionymi z portfela Ann Marie, żeby bank nie zablokował karty. Od kiedy jej matka zrezygnowała z brania na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności, Magpie musiała sama rozwiązywać wiele małych problemów, ale sprawnie sobie z nimi radziła.

Za to jej siostra, Eryn...

Magpie nie lubiła myśleć o swojej siostrze.

W każdym razie Eryn nie zamierzała się już zmagać z tymi problemami. Jakiś rok temu opowiedziała Magpie o tym, jak źle było kiedyś. Magpie była młodsza od Eryn o sześć lat i nie pamiętała poprzedniego okresu pijaństwa matki.

Eryn zapowiedziała, że jeśli matka kiedyś znowu sięgnie po butelkę, ona się wyprowadzi.

Zawsze dotrzymywała słowa, więc odeszła.

W sensie fizycznym nie znajdowała się daleko – studiowała na ostatnim roku w college'u w Fairview, oddalonym zaledwie o pięćdziesiąt kilometrów od Dalej – ale Magpie miała wrażenie jakby jej siostra mieszkała w innym kraju, albo nawet na innej planecie. Jakby umarła i nikomu nie przyszło do głowy, żeby poinformować Magpie, kiedy odbędzie się pogrzeb.

Nie wiedziała, co było gorsze.

Jej ojciec wydzwaniał codziennie o szóstej po południu i przypominający jej o swoim nagim, różowym ciele, o tym, jak wszystko mu tam wisiało, o tym, jak próbował ją przytulić, gdy w końcu się ubrał, a koszula lepiła mu się do wilgotnej skóry, oklapłe włosy przylegały do twarzy, łzy lały się po policzkach, a przeprosiny płynęły z ust.

Czy jej siostra, która nigdy nie dzwoniła.

Czy jej siostra, która zmieniła numer telefonu.

Czy jej siostra, która pożegnała Magpie słowami:

„Przykro mi, okej? Ale nie mogę poświęcać swojego zdrowia psychicznego tylko dlatego, że ty nie jesteś jeszcze wystarczająco dorosła, by odejść z domu. Zadzwoń do mnie, jak skończysz osiemnaście lat”.

Magpie przywołała w myślach listę zakupów, którą przechowywała w łatwo dostępnej części mózgu. Z tuzin pudełek makaronu z serem, mleko, masło, płyn do naczyń.

Jak miała zadzwonić do Eryn, gdy skończy osiemnaście lat, skoro nie знаła nawet jej numeru? Czy Eryn po nią wróci?

Przypomniała sobie spleśniały, śmierdzący brokuł w opustoszałej lodówce. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła coś zielonego. Jak przez mgłę usłyszała pracownika sklepu, który zapytał ją, czy potrzebuje pomocy, ale ignorowała go tak długo, aż w końcu wzruszył ramionami i odszedł.

Kupiła rzeczy, których potrzebowała. Zdążyła zapomnieć o brokułach, ale sięgnęła po pomarańczę. Zamierzała ją zjeść w drodze do domu, żeby nie dostać szkorbutu.

*Szkorbutu? pomyślała. Siedzisz po uszy w gównie, a przejmujesz się szkorbutem?*



Wieczór nie był wystarczająco ciepły na kąpiel, więc Magpie zaczęła czyścić basen. Zebrała napęczniałe truchła owadów z powierzchni wody i wsypała

do środka więcej chemikaliów, żeby wytepić wszystkie nagromadzone przez zimę zarazki. Opróżniła zawartość filtra na ziemię, po czym zaciągnęła martwego dmuchanego łabędzia do pojemników na śmieci stojących przy bocznej ścianie domu.

Szerokim łukiem ominęła ogrodową szopę. Wypełniały ją rzeczy należące do ojca, te, których nie miał czasu spakować: kosiarka do trawy, sprzęt kempingowy, kijki narciarskie; wszystko połączone misterną siecią pajęczyn.

W trakcie gotowania zmyła naczynia. Jej matka częściowo odzyskała przytomność i nawet poszła do pracy. Po powrocie przelotnie pocałowała Magpie w policzek i zapytała, jak w szkole.

- W szkole jest świetnie – odparła Magpie.
- Jak się miewa Allison?
- Allison miewa się świetnie.
- Dawno jej tu nie było.
- Była kilka dni temu, akurat wyszłaś.

Podtrzymywanie delikatnego ekosystemu panującego w domu było możliwe wyłącznie dzięki temu, że Magpie unikała mówienia o niektórych sprawach. Na przykład o tym, że nie zamieniła słowa z Allison od sześciu miesięcy, że jej matka była alkoholiczką, a ojciec przespał się z jej ciotką.

Przychodziło jej to z łatwością, bo matka generalnie traciła zainteresowanie rozmową po zaledwie kilku minutach.

– Chyba zamówię pizzę – stwierdziła Ann Marie.  
– Masz też ochotę, moja mała Magpie?

– Tak, mamo, świetny pomysł – powiedziała Magpie, doskonale wiedząc, że jej mama nie zamówi pizzy, że wkrótce znowu straci przytomność i gdyby Magpie faktycznie miała ochotę na pizzę, musiałaby zamówić ją sama.

Skupiła się na makaronie z serem; tego wieczoru smakował odrobinę lepiej dzięki dodatkowi mleka i masła. Zjadła, stojąc nad zlewem i wyglądając przez małe okienko, z którego widziała tylne podwórze, basen, dmuchany materac w kształcie pizzy wyciągnięty na platformę, żeby za bardzo nie przesiąkł chemikaliami, i małą szopę z rzeczami ojca.

Może któregoś dnia ją spali.



We wtorkowy poranek pan James pojawił się w sali piętnaście minut przed lekcją, zamiast zwyczajowych pięciu. Usiadł w ławce sąsiadującej z ławką Magpie i zapytał, czy przeczytała opowiadanie.

– Przepraszam – powiedziała.

– Zapomnij o przeprosinach. Potrzebuję od ciebie czegoś więcej, Margaret. Zdajesz sobie sprawę, że jak tak dalej pójdzie, będziesz musiała powtarzać drugą klasę? Próbuję ci pomóc, ale odnoszę wrażenie, że ty nie chcesz pomocy.

Magpie miała wprawę w podawaniu minimum informacji, by ukrócić wścibskie pytania.

– Przepraszam. To znaczy... kilka miesięcy temu mój ojciec nas zostawił. To nie było łatwe ani dla mojej mamy, ani dla mnie. Staram się jak mogę. Naprawdę.

Pan James westchnął ciężko; może się ucieszył, że chociaż odrobinę się przed nim otworzyła.

– Jedyne, co musisz zrobić, to poprosić o pomoc. Gwarantuję ci, że mnóstwo ludzi chętnie ci jej udzieli. Zastanówmy się... A może przeczytasz to opowiadanie Joyce Carol Oates dziś wieczorem po powrocie do domu? Przeczytaj je i porozmawiamy o nim jutro przed lekcją. Dobrze?

– Dziękuję – powiedziała Magpie.

Pan James pokiwał głową.

Potem zauważył żółty notes, który zamknęła, gdy wszedł do klasy. Dotknął okładki, a Magpie poczuła ten dotyk we własnym wnętrzu. Ten notes był częścią jej ciała w równym stopniu jak krew, tkanka miękka czy jelito grube. Miała wrażenie, jakby nauczyciel przejechał paznokciami po jej sercu. To nie było miłe uczucie.

– Piszesz w nim zawsze, gdy cię widzę – powiedział.

– To nic takiego – odparła szybko.

– Jesteś pisarką, Margaret?

Czy była pisarką? Jeśli opisywanie wymyślonych światów można uznać za pisarstwo.

Cóż – opisywanie jednego wymyślonego świata.

Miejsca, które znała równie dobrze jak miasteczko, w którym mieszkała.

Miejsca, do którego ciągle wracała.

Jedynego miejsca, do którego naprawdę należała.

– Nie bardzo – mruknęła.

– To nie moja sprawa, ale gdybyś kiedyś chciała się ze mną podzielić tym, co piszesz, byłbym zaszczycony.

Zanim wszedł do klasy, Magpie zapisała w notesie jeden nowy wers.

*W Niedaleko będę potrafiła się ochronić przed ludźmi,  
którzy mnie skrzywdzili.*

– Zastanowię się nad tym – powiedziała.

Ale tak naprawdę miała na myśli:

*Nie ma mowy, nawet za tysiąc milionów lat.*



Podczas lunchu wszyscy rozmawiali o imprezie z okazji końca roku szkolnego, którą Brandon Phipp postanowił urządzić w domu swoich rodziców.

Wiadomość rozniosła się po stołówce, a gdy dotarła do ich podrzędnego stolika, żołądek Magpie fiknął kociołką. Tylko Ben zauważył, że straciła apetyt i podsunęła swoją tacę Briannie. Zaoferował jej pojemniczek mini-marchewek. Matka Bena codziennie pakowała dla niego lunch i czasami nawet wkładała do środka karteczki z wiadomościami, które wywoływały uśmiech na jego twarzy i sprawiały, że serce Magpie pękało na czterdzieści siedem milionów kawałeczków. Wzięła marchewkę i uśmiechnęła się do niego słabo. Podsunął jej jeszcze kubeczek z kawą.

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie  
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej  
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.  
Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji  
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!  
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie  
**[www.zielonasowa.pl](http://www.zielonasowa.pl)**